

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży
Z DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.

NA ZMARTWYCHWSTANIE.



Chrystus Pan miłosierny i przebaczący.

Ojczy nasz!



*O Najświętszy, o Wszchemocny,
Coś z nicości wywiódł światy
I usiał niemi cień nocny...
Coś na nasze łąki, lasy
Barwne porosiewał kwiaty,
Coś zwiesił barwne tęcz wstęgi
Na bezdenne widnokregi...
Ty, przed Którym Święci spoly
Upadają z archanioły,
Wielbiąc wielkość Twej potęgi
I cudowność majestatu:
Bądź wszędy błogostawiony,
Bo chociaż królujesz światu,
Stwórca—każdy twór swój znasz!
Miłością tulisz miliony,
Zwać się każesz: Ojczy nasz!*

MIR.



Wspomnienia z lat młodzieńczych.

przez St. Br.

(Ciąg dalszy.)

— Słysz, Stefek! są już w lesie! — krzyknął mi z lewej strony Panienska, odskakując za ogromną sosnę, z poza której zaraz złożył się i wypalił. Wyglądam, a tu przede mną na jakiej 50 kroków stoi trzech, a raczej dwóch, gdyż jeden zaraz upadł. Widocznie zobaczyli nas, bo złożyli się ku nam, zanim jednak zdążyli wystrzelić, taf, taf! położyłem jednego, a drugi, jak sarna, przesadził przez kłodę i tyłem go widział.

Dawaj tedy nabijać, przyczem dałem Paniencie znowu paczkę ładunków, tak też, że mi zostało już tylko dwie, i skaczemy z nim jak sarny, ciągle przystawając dla odpoczynku za grubszymi drzewami.

Kiedy jakoś las się przerzedził i już w kierunku naszego centrum więcej krzewów, niż drzew było, stanąłem za krzakiem, żeby tchu nabrać, aż tu niewiadomo skąd wyskakuje widocznie za nami specjalnie biegnący oficer i składa się z rewolweru, więc ja też do niego: huknęły strzały jednocześnie: czy on co dostał tego nie wiem, bo w chwili gdy ciągnąłem za cyngiel, uczułem w lewej nodze jakby silne

ukłucie, on zaś znikł za dymem, jakby się pod nim ziemia rozstąpiła.

Biegnę dalej do grubej sosny, na środku owej polanki rosnącej i nabijam tylko co wystrzeloną prawą lufę, ale kiedy ruszyłem dalej, czuję, że mi jakos lewa noga nie swoja, dobiegłem jednak jeszcze do innego drzewa, za którym przysiadłem, aż tu o kilka kroków z boku Panienska woła:

— Stefek, tyś ranny!

Przybiegł zaraz do mnie a ja poczułem gorąco w nodze; cała nogawica czerwona, wyraźnie zatem jestem ranny. Dawaj tedy ściągać but, który był pełen krwi, zawijać spodnie, i szukać owej rany. Jakoż pokazało się, że mam na samym brzegu przestrzeloną na wyłot łydkę.

Bólu dotąd nie czułem żadnego, dopiero gdysmy zaczęli obmywać wodą z wódką ranę, zapiekło porządnie. Po nałożeniu szarpi i mocnym obandażowaniu, chciałem nałożyć but, ale wleźć nie chciał, więc rozcięliśmy cholewę, nałożyli but a potem obwiązali rozciętą cholewę, nazewnątrz i ruszyli dalej.

Z początku ciężko było iść, ale potem rozchodziłem się i prawie nie czułem rany. Szedłem jednak już wolniej, bo i kule gwizdać koło nas przestały. Wtem zatrzeszczały gałęzie przed nami i zobaczyłem kłusem biegnący oddział Galicyan, przed nim jechał jakiś oficer i, przybiegłszy do mnie, (przyczem zauważyłem, że miał przeslicznego karego konia, a w rękę ogromny kawaleryjski rewolwer), śpiewnym lwowskim akcentem zapytał: ilu was jest?

Odpowiadam: „było 120, a ilu zostało tego nie wiem, po dużo naszych padło“.

On na to „możecie się cofać dalej“ i poleciał.

Po chwili w kierunku, w którym pobiegli Galicyanie, rozległ się gromki okrzyk hurraaa, trzask suchych karabinowych wystrzałów, a potem wśród basowych ruskich karabinów, grzechot jakby kto groch na ścianę sypał, tak gęsty, rewolwerowego ognia. Galicyanie bowiem oprócz karabinów mieli prawie każdy rewolwer, i teraz po wystrzeleniu karabinów zarzucawszy je na paskach na lewe ramię austryacką modą, wzięli się do rewolwerów, którymi na blizką metę i w krzakach, wielkie spustoszenie zrobili.

Cały ten trzask i łomot szybko się zaczął oddalać w tym kierunku skąd przybył, i teraz na nieprzyjaciela przyszła kolej biegać i chronić się za drzewami. Tylko, że Galicyanie nie dali im czasu na zatrzymywanie się i odstrzelanie się, lecz parli pędem przed sobą przez cały ten las, a potem jeszcze wyparłszy z lasu

i wzięwszy się znowu do karabinów, na polu porządnego im łupnia zadali. Jak mówili nasi, z których wielu za Galicyanami pobiegło, że nawet połowa tych, co wpadli do lasu, nie została, a i z tych co zostali, dużo było postrzelonych, i w ogóle o tym rewolwerowym ogniu cuda opowiadali. Była to jeszcze nowość, więc nadzwyczajne zrobiła wrażenie.

7. Przejście granicy -- Liska — Uhnów — Hoholów.

Ja tymczasem wlokłem się do naszego centrum, skąd dochodził jeszcze huk wystrzałów choć coraz słabnący, noga mi wprawdzie nie bolała, ale iść było ciężko i jakoś niezgrabnie. Nareszcie przywlokłem się na miejsce opatrunku, gdzie mi zaraz nogę przewinięto, przytem jakiś młody doktor, który mnie opatrywał, powiedział, żebym tylko o ile możności nie chodził, to za tydzień będę zdrow.

Nadciągali teraz nasi, niektórzy sami, inni prowadzeni przez kolegów, ale żaden nie był tak lekko ranny jak ja. Wieczorem, gdyśmy się porachowali, zdrowych wraz ze mną zostało 37, reszta byli zabici, lub ranni.

Późnym wieczorem wrócili Galicyanie i zaraz ruszyliśmy w pochód na całą noc. Na drugi dzień słyszeliśmy znowu kilka dalekich wystrzałów z armat: to strzelano do naszych ułanów, którzy jak mówiono alarmowali ciągnące za nami oddziały. Zresztą całego tego pochodu nie pamiętam, gdyż złożony na doskonale wymoszczonym słomą wozie, wraz z trzema lekko rannymi kolegami, spałem cały ten czas jak suseł. Rozbudził nas dopiero w jakimś gęstym lesie oficer, rozkazując oddać broń, którąśmy wszyscy przy sobie mieli na wozie.

Nawpół przytomny, przecierając oczy spytałem go, co to jest? gdyż nam pozwolono broń zatrzymać przy sobie, — ale on odrzekł tylko krótko:

„Rozkaz, przechodzimy granicę, broń złożyć na ten wóz, co nadjeżdża“.

Z żalem niezmiernym, gorzko płacząc, rozstałem się ze swoją ukochaną lepażówką, obwinawszy ją na drogę oddartym kawałkiem kilimku, na którym leżeliśmy i bandażem.

Wkrótce nadjechał wóz, na którym złożyliśmy broń, a ja ucałowałem lepażówkę na pożegnanie.

Dziwnie to jest z tą pamięcią ludzką, wiele rzeczy, które się zdarzyły znacznie później, zapomniałem zupełnie, ale czasy młodości, a zwłaszcza ten czas udziału w ruchu pamiętam tak doskonale, że to com widział, a nawet niektóre twarze mógłbym doskonale odrysować, gdybym rysować umiał.

Wóz z bronią wkrótce zawrócił i popędził za innymi także wyładowanemi bronią, które do lasu umykały. Co się z tą bronią stało, tego nie wiem. Zostaliśmy z głupimi minami, jak psy bez ogonów, i ruszyli dalej. Furman mówił, żeśmy już za granicą. Nagle rozległo się znane nam tak dobrze z Tuczapskiej szarzy: dududu! i w całym pędzie wypadł na nas szwadron huzarów węgierskich z dobytymi szablami i wielce groźnemi minami. Otoczyli nas natychmiast ze wszystkich stron, przytem słyszałem, jak się nasz Ubysz z pocziwym węgrem rotmistrzem owego groźnego szwadronu o coś mocno po niemiecku ujadał, w końcu węgier parsknął śmiechem, machnął ręką i doskonale słyszałem, jak powiedział:

„No ja! ist gut, aber ich wejss ja davon nichts!“

O co im szło, nie wiem, ale mówiono po tem u nas, że pocziwi węgry dwie godziny czekali na to, żebyśmy się mogli rozbroić i broń ukryć.

Jechaliśmy tedy pod ową groźną eskortą ku wsi Liski, dokąd nas tryumfalnie przyprowadzono, i gdzie już na nas oczekiwało obywatelstwo okoliczne z doktorami, opatrunkami i taką masą jedzenia i picia, żeby nam chyba na rok starczyło.

Postawiono nas w miejscowej szkółce, w gminie i t. d., a po opatrzeniu rannych i obfitem nakarmieniu wszystkich, poprowadzono dalej do Uhnowa, miasteczka blisko Lisek leżącego. Ciężko ranni zostali w Liskach, a obywatelstwo i mnóstwo chłopów, którzy nas także obficie częstowali, ruszyli za nami do Uhnowa. Znowu tedy usłyszałem tak dobrze znaną mowę rusińską, chłopci bowiem tamtejsi, równie jak mieszczenie Uhnowscy, byli rusini, unicy.

Przyjechawszy do Uhnowa, pomieszczono nas już wszystkich w budynku szkolnym, przed którego drzwiami ów groźny rotmistrz postawił kilku żołnierzy piechoty, w obcisłych niebieskich spodniach, żółtych wysokich trzewiakach na spodnie nałożonych, i białych mundurach. Ci w oczach naszych nabili karabiny, stanęli równie z groźnemi, minami jak ich dowódca.

Po chwili wszedł do sali pan Bezirkshauptman i kazał wszystkie okna otworzyć. Niemogliśmy ani rusz zrozumieć, po kiego licha to robi, gdyż i deszczyk padał i dobrze chłodno było, aż dopiero licznie zebrana przed oknami publiczność zaczęła na nas kiwać i wołać:

— Siudy! siudy! utikajte!

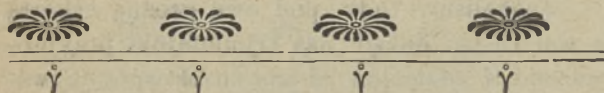
Wreszcie zrozumieliśmy i cały tłum zaczął przez okno wyskakiwać i mieszać się z publicznością, która chwytając „aresztantów“ pod ręce i odprowadzała do domów, albo wsu-

dzała do oczekujących powozów i bryczek, które się nawet nie fatygowały z pośpiesznem podjeżdżaniem.

Gdy już prawie połowa „jeńców“ uciekła, w pewnej odległości rozległo się parę strzałów, była to nasza straż, która odsunawszy się na tyle, żeby nikogo znowu zanadto nie przestraszyć, w ten sposób wyraziła swoją czynność. Prawie jednocześnie wpadł do nas jakiś oficer, i nasadziwszy *donnerwetterów* co niemiara, kazał okna pozamykać. Drzwi jednak były otwarte i publiczności między namipełno.

Jakiś szlachcic z ogromnymi wąsami lał w nas wino węgierskie jak w beczki, i opowiadał, że już od dwóch dni cała okolica zjechała się na granicę i słuchała huku armat, że we wszystkich cerkiewkach modlono się za nas i odprawiono nabożeństwa, że oficerowie austriacy zachwycali się nami, że się tak dzielnie trzymamy, a ściskaniem i całowaniami nie było końca.

(d. c. n.)



Zadanie do nagrody.

Idzie Grzela brzegiem rzeki i pobrzękuje pieniędzmi, natrafia na prom, przy którym stoi przewoźnik.

— Czy dużo masz pieniędzy? — pyta.

Grzela pokazuje mu garść miedziaków.

— Jeśli chcesz mieć więcej, to ci wynajmę prom na takich warunkach. Za każdą przeprawę na drugą stronę mój wspólnik da ci *dwa razy* tyle pieniędzy, ile mu pokażesz, ale za każdym powrotem tutaj musisz mnie oddawać po 24 kopiejki. Dobrze?

— Dobrze!

Grzela przeprawił się na drugą stronę, dostał dwa razy tyle, ile miał wrócił nazad, oddał przewoźnikowi 24 kop. i puścił się na brzeg przeciwny po raz drugi.

Ale cóż się stało! po trzech przeprawach tam i nazad, gdy znowu udał się na brzeg przeciwny, okazało się, że już nic nie ma w kieszeni.

Ile Grzela miał pieniędzy?

Za dwa pierwsze trafne rozwiązania z wyjaśnieniem sposobu działania (jedno z Warszawy, drugie z prowincyi) udzielone będą nagrody w książkach z biblioteki „Wieczorów“.



REJTAN.

Tragiczną sceną historyczną przedstawia słynny obraz mistrza Matejki*), znajdujący się w Wiedeńskim Muzeum dworskim, ponurą lecz i podniosłą zarazem, jedną z tych, które najchętniej odtwarzał wielki artysta razem ku chwale sztuki, jak i swej ojczyzny.

Aczkolwiek scena ta odbyła się w nieco odmiennych warunkach, niż na obrazie bo w nieobecności króla Stanisława Augusta i posła rosyjskiego Stackelberga, niemniej jest historycznie prawdziwa, tak bowiem chciał w uniesieniu szlachetnej rozpaczy obywatelskiej, by wzruszyć sumienia posłów na sejm rozbiorowy 1773 r. dla ocalenia czci narodu rzucił się na ziemię u drzwi sali sejmowej — poseł powiatu nowogródzkiego, Tadeusz Rejtan.

„Są postacie w historii,—mówi Szujski— które się w pamięci i wyobraźni ludzkiej połączyły z głośnymi smutnej lub chwalebnej treści wypadkami, że pozostawiają w cieniu poza sobą wszystkich innych w onych wypadkach działaczy. Taką postacią na tle ponurem dziejów pierwszego rozbioru jest Rejtan. Niema serca polskiego, dla którego ta postać droga by nie była; ze świata historii przeszła w dziedzinę legendy, tradycyi, w złotą księgę przykładałów patryotyzmu i cnoty narodowej“.

Przypomnijmy więc sobie wraz z obrazem mistrza tę kartę ze złotej księgi według wykładu tego uczonego dziejopisa.

Po ostatecznym upadku Konfederacyi Barskiej—5 sierpnia 1772 r. stanął traktat podziałowy między Rosyą, Austryą i Prusami, a we wrześniu, kiedy wojska tych mocarstw wkroczyły w zakresłone traktatem dzielnice polskie, wręczyli ambasadorowie Stackelberg, Rewitzki i Benoit deklarację królowi, aby w celu zatwierdzenia rozbioru sejm zwołany został.

Gdy noty dyplomatyczne z protestem do innych dworów europejskich — skutku nie wywarły żadnego, gdyż jeden tylko Karol III król hiszpański ofiarował swoją gotowość do interwencyi dyplomatycznej, Rada Senatu, z której wielu członków posłowie obcy wykluczyli, uchwaliła zwołanie sejmu i król uniwersałem z 22 lutego 1773 r. zwołał sejmiki wyborcze na 22 marca a sejm w Warszawie na 19 kwietnia.

Stańło przed narodem, który wówczas jak w całej Europie z wyjątkiem Anglii, właściwie tylko stan szlachecki przedstawiał, wiel-

*) Obraz ten umieścimy w następnym numerze (przyp. red.)

kie i ważne pytanie, czy brać udział w sejmie, narażonym na niewolę obrad i mającym potwierdzić odstąpienie najżyźniejszych dzielnic, czy cofnąć się zupełnie i nie nadawać cechy prawnej temu, co przemocą dokonaniem zostało.

W większości powiatów wyborów nie urządzono zupełnie, ogłaszając tylko protesta, w niektórych zwłaszcza na Litwie i w województwie Łęczyckiem dokonano wyborów pod hasłem ocalenia całości kraju i nie dopuszczenia potwierdzenia rozbioru; w pozostałych zgodzono się w zasadzie na smutną konieczność.

W ten sposób sejm miał zamiast 242 tylko 111 posłów, w tej liczbie wielu mężów prawdziwej cnoty obywatelskiej i odwagi cywilnej, lecz najwięcej słabych lub obojętnych, a kilku przekupionych i gotowych dla prywaty na wszystko.

Województwo nowogrodzkie wybrało dwóch posłów, młodych, bo po 32 lata liczących, pana Rejtana i pana Korsaka, z zaleceniem, aby bronili całości kraju, i z ufnością, że zadaniu temu sprostają.

I nie spotkał go ze strony wybranych zawód.

Tadeusz Rejtan, dziedzic Hruszówki pod Nieświeżem, odznaczył się w konfederacji Barskiej i po jej upadku schronił się na Wołoszczyznę. Na wieść o sejmie powrócił do Nowogrodka, gdzie go jednomyślnie wybrano, i natychmiast wraz z kolegą zjawiał się na pierwszą sesję sejmową, na którą dotąd mała tylko liczba posłów litewskich zdążyła.

Złowroga wieść obiegała grono nielicznych posłów, gdy wedle starodawnego obyczaju szli do kościoła św. Jana, aby od nabożeństwa obrady rozpocząć. Król uniwersałami swymi wzywał posłów na tak zwany sejm wolny, to znaczy na sejm, do którego uchwał potrzebna była wedle praw kardynalnych świeżo w 1768 r. pod naciskiem ościennych mocarstw spisanych—jednomyślność. Na sejmie takim *liberum veto* posiadało moc pełną i jeden lub kilku posłów mogło sejm zerwać i do uchwały nie dopuścić.

Najzgubniejsza ustawa, która tyle złego przyczyniła krajowi, przez dziwną ironię losu, mogła się stać teraz kotwicą ratunku, sejm unicestwić i zyskać na czasie, bo właśnie posłowie nowogrodzcy zamierzali tym razem dla słusznej sprawy użyć swego prawa *veto*.

Ale tego właśnie obawiali się ambasadorowie obcy, więc Stakelberg usilnie starał się przeprowadzić konfederację, to jest sposób sejmowania większością głosów, zachowany dawniej na nagłe potrzeby Rzeczypospolitej, lecz właśnie pod jego naciskiem przed czterema laty zupełnie uchylony.

Ale dla takiej konfederacji konieczny był marszałek, który zaraz po zawiązaniu obejmował przewodnictwo w sejmie i zarazem czasową władzę wykonawczą.

Marszałkiem takim zgodził się być kuchmistrz koronny Adam Poniński, graczy i hulaka, który za pieniądze zdolny był do wszelkich łotrstw i matactw.

(d. c. n.)



Trzy tygodnie pod ziemią.

Straszna katastrofa w kopalni węgla kamiennego w Courrieres w północnej Francji—przeszła rozmiarami wszystkie, jakich dotychczas padali ofiarą górnicy w różnych krajach.

Przed miesiącem z niewyjaśnionej jeszcze na pewno przyczyny nastąpił wybuch i pożar w szybach, a było tam wówczas w czeluściach ziemnych około dwóch tysięcy robotników, z których półtora tysiąca zginęło.

Pożar wewnętrzny dym, i wyziewy utrudniają ratunek, pomimo nadludzkich wysiłków. Trwa on jeszcze dotąd, gdyż po 20 dniach znaleziono szczęśliwym trafem dwudziestu górników żywych.

Zostali oni tylko przypadkiem wynalezieni. Robotnicy, zajęci gaszeniem pożaru, mieli właśnie zamiar opuścić kopalnię, kiedy nagle ujrzeli zbliżające się, a ledwo na nogach się trzymające postacie. Górników tych, wydobytych na wierzch, poddano natychmiast oględzinom lekarskim. Byli wszyscy niesłychanie osłabieni, mają się jednakże względnie dobrze.

Górnik Nemy, który był przywódcą uratowanych, dopytywać się począł przedewszystkiem o rodzinę, a na widok ojca wybuchnął płaczem. Opowiada on swoje przygody, jak następuje:

W chwili wybuchu w kopalni, począłem na oślep uciekać, a po drodze natknąłem się na 150 trupów. Udało mi się wreszcie dobiec do końca sztolni, gdzie ujrzałem 12-tu towarzyszy, którzy tam znaleźli schronienie. Myśleli zrazu, że należę do oddziału ratunkowego, i że im przynoszę ocalenie, ale kiedy się dowiedzieli, że należę tak jak oni do zasypianych wewnątrz kopalni, wpadli w rozpacz nieopisaną. Dodałem im otuchy i przez 8 dni pozostaliśmy w tej sztolni. Codziennie nakręcałem zegarek

i w ten sposób wiedziałem która jest godzina i wiele dni upłynęło.

Jedliśmy ziemię, korę z drzewa, podtrzymującego sklepienia w kopalni, słowem wszystko, cośmy tylko znaleźli. W ciemnościach nie mogliśmy znaleźć drogi i błakaliśmy się na oślep po kopalni. Pewnego wieczora dotarliśmy do jakiejś stajni końskiej, gdzie znaleźliśmy owies, którym żyliśmy dwa dni. Następnie jedliśmy mięso z zabitych przez wybuch w kopalni koni, znajdujących się już w stanie gnicia. Ostatniego dnia podzieliliśmy się na 3 grupy, ażeby każda z osobna szukała wyjścia. Po drodze napotkaliśmy na przed świeżego powie-

tem bywa znacznie kosztowniejsze w bezleśnych stronach niż węgiel.

Życie górnika jest ciężkie, choć na ogół lubi on swój zawód i przekazuje go zwykle swym dzieciom. Zjehawszy w głąb kopalni, udaje się z lampką ochronną i kilofem w czarne przekopy, tam kruszy, wybija i wyłamuje w pozycji często bardzo niewygodnej bryły węgla kamiennego, tych czarnych dyamentów, które potem dostarczając ciepło, wytwarzają gaz parę, elektryczność, słowem wszystkie motory ruchu przemysłowego współczesnego.

Ale gdybyż tu szło tylko o wysiłek, zmęczenie i brak światła dziennego! Z tem można



rys. Wł. Tetmajer.

(Kliska ze „Świata“).

Święcone na wsi.

trza, co nas bardzo ożywiło, wreszcie powlekliśmy się dalej i nakoniec ujrzelśmy innych ludzi!

Tak więc energia Nemy'ego utrzymała przy życiu towarzyszy.

Ale odnalezienie cudowne niemal tej gromady nie zmniejszyło powszechnego smutku, gdyż tysiąc kilkaset ludzi w sile wieku zginęło a rodziny ich pozostały bez środków do życia.

Ileżby to ludzkość dała, żeby można było zabezpieczyć się od podobnych katastrof, bo zaniechać dobywania węgla jest niepodobniestwem i bez niego stanęły by wszystkie fabryki, huty żelazne, koleje i t. p. Drzewo daje bowiem daleko mniej ciepła, a przy-

sobie poradzić! Nie! czyhają tu na nich inne niewidzialne, ale śmiertelne wrogi.

Głównymi wrogami (oprócz przypadkowego osypania się ziemi lub wytrysków wody zaskórnej)—są: gaz kopalniany, niezmiernie palny, wydobywający się z pokładów węgla, oraz gorszy bodaj od niego pył węglowy, unoszący się w kopalniach.

Gaz znany już od dawna, przeciw niemu używają lampek ochronnych Davego, z koszulkami drucianymi i starają się usuwać go za pomocą wentylacji.

Ale właśnie ta wentylacja ściąga ze ścian i podłogi i unosi w górę całe kłęby drobniotkiego pyłu węglowego, który jak wogóle wszel-

KATASTROFA w COURRIERES.



Poszukiwanie zagrzebanych w kopalni.



Wydobywanie ofiar.

ki miał (np. mączny) jest niezmiernie palny zwłaszcza przy obfitym dostępie powietrza.

Łatwo to sprawdzić na małych ilościach choćby t. zw. licopodyum.

Trzeba wziąć fajkę na dość długim cybuchu, żeby zabezpieczyć oczy; nasypać do niej lycopodium, lub miału węglowego albo mącznego. Obłóżmy fajkę papierem i przekłujmy w nim kilka dziurek śpilką, poczem wydmuchujemy proszek przez te dziurki, dmuchając w cybuch. Niech ktoś przysunie zapaloną zapałkę do unoszącego się w górę proszku, a zobaczy jaki słup ognisty buchnie w górę.

Niezależnie od tych niebezpieczeństw — istnieją jeszcze pewne podziemne wstrząśnienia kory ziemnej, które sprawiają niespodziane zapadanie się ścian lub gwałtowniejsze wydobywanie się gazu, a stąd większą możliwość wybuchów. Przed samą katastrofą w Courrieres — odpowiednio obserwatorya w całej Europie zauważyły właśnie tego rodzaju wstrząśnienia.

Miejmy nadzieję, że nauka i technika zdołają wynaleźć lepsze środki dla zabezpieczenia dzielnych górników od groźnych tych niebezpieczeństw!



JULIUSZ VERNE

Wśród Łotyszów.

Przekł. J. P.

(Ciąg dalszy.)

To mu opóźni ucieczkę — przerwał major — dotąd bowiem ani w zatoce Fińskiej, ani w zatoce Ryskiej żegluga się nie rozpoczęła, żaden z portów nie jest jeszcze wolny od lodów. Jeżeli więc ów nieznajomy chce odpłynąć morzem, czeka zapewne na pierwszy statek w jednym z miast nadbrzeżnych, w Parnawie lub Rewlu...

— A dlaczego nie w Rydze? — przerwał pułkownik Ragenow. — Mnie się zdaje, że właśnie wrócił tutaj, sądząc, że w ten sposób łatwiej zmyli policję...

— To ostatnie przypuszczenie wydaje mi się mniej prawdopodobne — odparł major Verder. — Pomimo to jednak rozkazałem agentom rewidować starannie wszystkie statki, odpływające z Rygi. Żegluga rozpocznie się najprędzej

w końcu tygodnia, mam więc czas jeszcze na wzmocnienie dozoru policyjnego we wszystkich częściach miasta i w samym porcie.

Policmajster pochwalił wszystkie środki, które zamierzał przedsiębrać major, rozciągając je na cały obszar prowincyi Nadbaltyckich. Co do przebiegu badania sądowego byli spokojni, wiedząc z doświadczenia, że na zdolnościach i sumiennosci Kerstorfa polegać mogli najzupełniej.

Ragenow po tej rozmowie nie wątpił już wcale, że zbrodnię popełnił tajemniczy podróżny. Lecz w jaki sposób go odnaleźć?.. Jak stwierdzić jego tożsamość, skoro go nie znał ani Kroff ani Brok?... Żaden z nich nie mógł nawet powiedzieć, czy człowiek ten był młody czy stary... nie mówiąc już o imieniu i nazwisku... Działać trzeba po omacku. Niewiadomo zupełnie, w którą stronę zwrócić agentów... Zkąd oczekiwać promyka światła, mogącego rozjaśnić te ciemności.

Tego samego rana doktor Paulin po zre-dagowaniu protokołu sądowo-lekarskiego udał się do kancelaryi sędziego Kerstorfa.

— Cóż, jakie wieści? — zapytał.

— Żadnych — odparł sędzia z westchnieniem.

Paulin pożegnał Kerstorfa i postanowił odwiedzić Ozolinów. W drodze spotkał się z konsulem Delaporte.

Rozmowa skierowała się odrazu na temat sensacyjnej zbrodni.

— Nie ulega wątpliwości — zgodził się konsul, że sprawa jest niesłychanie ciemna. Nawet przypuszczając, że istotnie mordercą jest ów tajemniczy nieznajomy, w jaki sposób odszukać jego ślady?... Pan, panie doktorze, zdajesz się przywiązywać wielką wagę do faktu, że nóż opatrzony był skówką ze sprężyną, która pozostawiła odcisk na ciele, dokoła rany...

— Czy uda się jednak odnaleźć ten nóż?..

— Kto wie — odparł doktor.

— Ha, przyszłość to pokaże... Czekajmy więc — zgodził się doktor.

— Ale, ale... czy nie masz pan jakich wieści o Ozolinie?

— O Matiasie? — zapytał doktor. — Jakież mogą być wieści, skoro go niema w domu?!..

— To dziwne! — zauważył konsul. — Ten nagły wyjazd zastanawia mnie coraz więcej...

— Tak, to szczególne — potwierdził Paulin.

— Do dnia wczorajszego panna Ozolin nie miała jeszcze ani jednego listu.

— Idźmy razem do Marty! — zdecydował Paulin. — Może dzisiaj odebrała jakąś wiadomość... A może i Matias już wrócił?..

Zaraz na prawo skręcili w ulicę, gdzie mieszkał profesor.

Po upływie paru chwil stali już u drzwi.

na których wisiała kartka z napisem: *Matias Ozolin*. Zadzwonili. Otworzyła służąca, młoda Łotewka. Na zapytanie, czy Marta może ich przyjąć—odpowiedziała twierdząco i wprowadziła do sali. — Marta powitała gości z widocznym zadowoleniem.

— Czy ojciec nie wrócił, drogie dziecko?— zapytał doktor.

— Nie—odparła młoda dziewczyna krótko. Błada jej i smutna twarzyczka zdradzała niepokój szalony.

— Nie miała pani jakich wieści? — zapytał konsul.

Marta potrząsała przecząco głową.

— Przyznać trzeba, że cała ta wycieczka jest dziwnie tajemnicza — zawyrokował doktor.

— Byleby tylko ojca nie spotkało nic złego — szepnęła wzruszona — od jakiegoś czasu straszne wypadki w Inflantach zdarzają się tak często...

— No, dziecko, nie należy nigdy przesadzać. Dzięki Bogu można jeszcze podróżować bezpiecznie... Prawda, że parę dni temu także popełniono zabójstwo w okolicach Parnawy... morderca nieznan, lecz ofiarą jest inkasent z banku Johansenów...

— Widzisz zatem, szanowny przyjacielu, że moje obawy są uzasadnione—przerwała Marta. — Już czwarty dzień mija, a ojciec nie wraca. . Mimowoli dręczy mnie przecucie jakiegoś nie szczęścia...

— Ależ, Marto, uspokój się—rzekł doktor, biorąc ją za rękę...—staraj się panować nad sobą... doprawdy, nie poznaję ciebie... zawsze miałaś tyle hartu, tyle energii... Przecież ojciec uprzedził cię, że dni parę będzie poza domem...

— Czy pan to wszystko mówi serjo? — zapytała dziewczyna, patrząc mu w oczy badawczo.

— Ależ, naturalnie, moje dziecko... nie widzę powodu do obaw... dziwię się tylko, co mogło twego ojca skłonić do wyjazdu... Pokaż mi jeszcze tę kartkę, którą do ciebie napisał... oczywiście, jeżeli ją zachowałaś...

— Mam ją nawet przy sobie — odparła Marta, wyjmując z kieszeni zmięty bilecik.

Paulin odczytał go uważnie, następnie oddał konsulowi. Obaj jednak nic nie mogli wnioskować z kilku lakonicznych słów, które profesor nakreślił do córki z widocznym pośpiechem.

— Więc nawet cię nie uściskał przed odjazdem?—zapytał.

— Nie, doktorze. Wczorajem zauważyłam, że był jakiś roztargniony...

— Dnia tego wrócił później niż zwykle... pamiętasz, doktorze? — zapytał konsul. — Mówił, że lekcya się przeciągnęła.

— Co prawda — wyznał Paulin — już od paru miesięcy wydawał mi się zakłopotanym,

zamyślonym... Co robił po naszym wyjściu, Marto? — zwrócił się do młodej dziewczyny.

— Powiedział mi dobranoc i poszedł do swego pokoju...

— Może miał jaką wizytę w swym gabinecie — zapytał doktor.

— Ależ nie, doktorze. Jestem nawet pewna, że się zaraz udał na spoczynek, przez cały wieczór bowiem z pokoju jego nie doszedł mnie żaden hałas.

— Może po naszym wyjściu doręczono mu jakiś list?

— Nie, doktorze, ręczyć mogę, że nie przychodził nikt. Byłabym przecież słyszała stuk otwieranych drzwi.

— A zatem, kiedyśmy byli u was, projekt wyjazdu był już postanowiony?

— To nie ulega wątpliwości — wtrącił konsul.

— Powiedz mi jeszcze, Marto, czy nazajutrz rano, po odczytaniu kartki ojca, nie próbowałaś się dowiedzieć, w którą stronę się udał po wyjściu z domu.

— Nie przyszło mi to nawet na myśl — odparła Marta. — Nie chciałam nigdy wdzierać się w tajemnice ojca... Zresztą, powodem mego niepokoju nie jest sam fakt wyjazdu, lecz to, że ojciec dotąd nie wrócił...

— Raz jeszcze powtarzam ci, Marto, więcej spokoju!... Opóźnienie jest bardzo nieznanne... Zobaczysz, że dziś wieczorem, lub jutro rano powitasz ojca.

W głębi duszy jednak Paulin był również bardzo zaniepokojony, więcej mu jednak dawał do myślenia tajemniczy powód wyjazdu, niż przedłużająca się nieobecność Matiasa. Obaj przyjaciele pożegnali Martę, obiecując wstąpić do niej wieczorem.

Młoda dziewczyna stała na progu mieszkania, dopóki nie znikli na zakręcie ulicy. Poczem trawiona jakimś smutnem przecuciem wróciła do swego pokoju.

Tego samego dnia rano podoficer Eck wraz ze swym oddziałem wrócił do Rygi.

Przez czas dłuższy przebywał w północnej części Inflant, ścigając szajkę złoczyńców, napadających na wsie i dwory. Przed kilku dniami od Pejpusu aż do Parnawy śledził zbiega, który w końcu znikł mu z oczu wśród lodów zamarłej rzeki... Czy zginął!... Było to możliwe, Eck jednak nie miał pewności zupełnej, pomimo bowiem starań najgorliwszych, policyjanci nic odnaleźć nie mogli.

Natychmiast po przybyciu do Rygi podoficer pośpieszył z raportem do majora Verdera.

(d. c. n.)



BOMBA.

Komedyjka w jednym akcie.

OSOBY:

Pani Mińska, Wacław, Anielka (jej dzieci), Lutuś siostrzeniec, Sędzia.

(Duży pokój — na stole porozkładane książki i kajety, obok rajzbret — na stoliku bocznym kłosz ze złotymi rybkami)

SCENA I.

Wacław — potem Anielka.

(W chwili gdy się podnosi zasłona, Wacław kładzie coś w puszkę od sardynek i zapycha ją papierami, ale że stoi bokiem do widzów, nie można dojrzeć wyraźnie, co robi. Bardzo jest zajęty i podśpiewuje. Otwierają się drzwi i wchodzi Anielka: Wacław odwraca się i, porwawszy ze stołu gazetę, osłania nią to, co trzymał w ręku.)

Wacław (szorstko). Pociąg tu przysła?

Anielka. Chciałam z tobą porozmawiać.

Wacław. Idź sobie... Nie będę z tobą rozmawiał.

Anielka. Dlaczego?

Wacław. Dlaczego? — Dlatego... że... że... (jąka się).

Anielka. Co ty tu robisz?

Wacław. A co ci do tego?

Anielka (grzecznym tonem). Dlaczego mi nie chcesz powiedzieć?

Wacław. Bo nie chcę...

Anielka. Ale dla czego nie chcesz?

Wacław. (powtarza, przedrzeźniając) Dlaczego? (potem zwyczajnym głosem szorstko). Bo nie mam ochoty! Daj mi pokój. Idź sobie stąd...

Anielka (siada). Właśnie, że nie pójdę. Po co mam iść? to nasz wspólny pokój, i mam takie same prawo siedzieć tu jak i ty.

Wacław (z wahaniem). No tak... ale... nie w tej chwili...

Anielka. Ej, mospanie, robisz coś złego i nie chcesz, żebym widziała.

Wacław (szydlerczo). Doprawdy? Tak ci się zdaje?

Anielka. Wcale mi się nie zdaje... Boisz się, żebym nie powiedziała mamie.

Wacław. Tegoby tylko brakowało! Idź sobie!

Anielka. Nie pójdę! Zostanę tutaj.

Wacław (na str.). Co ja z nią zrobię? (głośno). Jeżeli nie wyjdiesz sama, to cię wypchnę za drzwi!

Anielka (zagniewana). Zobaczymy! Spróbuj tylko!...

Wacław (widząc, że nie da rady, ucieka się do wybiegu i mówi bardzo uprzejmie). Moja ko-

chana Anielko! Proszę cię, zrób mi tę przyjemność i odejź stąd! Ja tu przygotowuję niespodziankę, a ty mi wszystko popsujesz...

Anielka (uradowana). Niespodziankę? Naprawdę? a jaką?

Wacław. Wielką niespodziankę... Prawdziwy kawał!... Ale to tajemnica.

Anielka. Bądź spokojny, nie powiem nikomu, tylko mi powiedz co to będzie?

Wacław (tajemniczo). Nie mogę!

Anielka. A ja stąd się nie ruszę, dopóki mi nie powiesz!

Wacław (zły, namyśla się chwilę, a potem zbliża się do Anielki i mówi tajemniczo) Wiesz, że dziś Lutuś przyjdzie?

Anielka. Wiem, na całe popołudnie i wieczór, tak jak zwykle w każde święto.

Wacław. I bardzo się z tego cieszysz, że on tu zawsze przychodzi?

Anielka. No! tak bardzo to nie... Ale cóż robić? On zresztą taki spokojny...

Wacław. Spokojny? Niedołęga, gapa, tchórz, lizus! Wszystkiego się boi, na wszystkich się skarży. Nie chce nawet żadnych gier, żeby nie upaść, albo ubrania nie splamić! Mam już dosyć tych jego wizyt!

Anielka (usiłuje go przekonać). Ale wiesz przecie, że jak powiedziałeś to mamusi, co mamusia ci odpowiedziała: że Lutuś jest sam zupełnie, więc dla tego nie wyrobił się jeszcze, że ciocia przysłała go do nas, żeby się rozerwał i rozruszał. On w dzieciństwie długo chorował, dla tego taki słaby i nieśmiały. To prawda, że nudny, ale nie można przecie go nie przyjąć...

Wacław. A ja właśnie znalazłem sposób, żeby go się pozbyć...

Anielka. Powiedz mi. Jaki?

Wacław. Nie mogę ci powiedzieć wszystkiego... Lutuś widzisz jest bojaźliwy, poprostu tchórz... Więc ja go tak nastraszę, że mu się odechce przyłączyć do nas!

Anielka (z przestraczeniem). A jak mu to zaszkożdzi? Mnie się zdaje że tego nie można robić... Obawiam się tego figla... Straszyć tego biednego Lutusia, który jest słabego zdrowia i nasz gość... To jakoś brzydko... Nie chcę mówić mamie, żeby cię nie zdradzać, ale lepiejby było, żebyś dał temu pokój... Boję się, że to będzie coś złego...

Wacław. Jak się kto boi, to nigdy nic nie zrobi! Ja się nie boję, bo nie jestem dziewczyną ani Lutkiem. Daj mi pokój, wynoś się stąd i nie mów nikomu ani słowa. Pamiętaj, bo pożałujesz!

Anielka (ze smutkiem). Dobrze, dobrze... Ale namyśl się dobrze Waciu, bo to będzie coś złego niezawodnie... (wychodzi).

SCENA II.

Wacjo (sam).

(Siada przy stole tyłem do publiczności i odłożywszy na bok dziennik, majstruje dalej koło pudełka. Potem idzie do pieca, odsuwa parawanik, odmyka drzwiczki, ustawia pudełko z którego wychodzi długi pasek papieru, i zasłania piec parawanikiem, żeby nie było widać, że otwarty. Następnie wraca na front sceny).

Wacjo (z zadowoleniem). Już! A gdzie zapaliki? (szuka w kieszeni) Są! Wszystko w porządku. Będzie dopiero śmiech!...

(d. c. n.)



ZE ŚWIATA.

Wybory do Dumy Państwowej. Od początku kwietnia w całym państwie odbywają się prawyборы wybory posłów do Dumy, bo już na dzień 10 maja wyznaczono podobno pierwszą sesję.

Największe powodzenie w tych wyborach w Rosji zyskało dotąd stronnictwo konstytucyjno-demokratyczne, które przychylnie się zapatruje na sprawę przyznania autonomii Królestwu Polskiemu.

Na Litwie i Białej Rusi wybrano w guberniach po kilka katolików polaków.

Jednocześnie odbywają się wybory do Rady Państwa, w której odtąd przy 100 członkach mianowanych przez rząd — stu będą wybierali obywatele ziemscy, uniwersytety i przedstawiciele kupiectwa i przemysłu. I do tej Rady wybrano kilku polaków.

W Królestwie Polskiem dotąd jeszcze termin wyborów na posłów stanowczo nie jest określany.



Skrzynka do listów.

Wszystkim siostrzyczkom życzy Jaskółka,
Jak bądź się zowią: Różowa Smółka,
Muszka, Stokrotka, Gołąbek biały,
By się im babki dobrze udały.

A znów wam Dęby, Orły, Sokoły,
Piątek w cenzurze życzę ze szkoły.
Niech głodna rzesza do sióstr pośpiesza,

A za przysmaki, jak — dawne żaki
Siostróm śmigusem daj się we znaki!

Tak, tak **Orle Białe**, takie rady daje Jaskółka, pamiętaj służyć ich rad i nie żałować dla *Zaczytanej* ani wody, ani trudu. Za życzenia dziękuję serdecznie.

Tak, **Łyżwo**, Kwiecień zrobił nam prawdziwy — Prima Aprilis, bo zamiast fijołkami, obdarował mrozem, a spragnieni jesteśmy wiosny zarówno dla zmarzłych pól, jak i dla zmęczonych serc.

Ja, **Czarnobrewko**, przesyłam ci 21071 całusów, to jest o jeden więcej, niż ty mnie. Podobasz mi się figlarko i ten całus starego ptaka ma być zadatkiem jego przyjaźni z *najnieznośniejszą* dziewczyną. Napisz, jakie masz marzenia na przyszłość, a raczej, czem pragniesz służyć światu ku radości dobrego tatuńcia, i uczczeniu pamięci mamusi, która cię tak wcześniej odeszła, pieszczotko.

Mylisz się, **Jagienko z pod Drobina**, pamiętam doskonale, co pisałaś przed rokiem, w czasie strejków, «że ci, którzy więcej umieją i więcej mają, powinni się dzielić z potrzebującymi». Mogłabym zapomnieć o osobie, takie wyznającej zasady? Życzę ci z całego serca powodzenia w planach na przyszłość, agronomia jest zaszczytną i wdzięczną pracą, umieć tylko wytrwać w niej i zachęcić inne kobiety swoim przykładem.

Zadajesz kłam swemu pseudonimowi, **Purchawko**, bo skromnie wyrażasz się o sobie, a tymczasem list napisany bardzo starannie i ortograficznie — dobre daje świadectwo o nowej korespondentce, którą też całym sercem przyjmuję do grona «młodzieży Wieczorów» i proszę o częste wiadomości.

Dziękuję, **Ukrainko z Zakrzenieza**, za przysłane listki fijołków, nim list ten czytać będziesz, już pewno zakwitną one na polskich grzędach. Pytasz, czy lubię konie? Tak lubiłabym popatrzeć na stada wazszych stepów, ale konie tramwajowe i dorożkarskie, to najczęściej ofiary wyzysku, więc cieszyć się trzeba, że zastępuje je coraz bardziej w pracy elektryczność. A czy znasz, **Ukrainko**, wspaniały początek «Maryi» Malczewskiego: «Ej, ty na szybkim koniu — gdzie pędzisz koczaczko? Czyś zaoczył zającą, co po stepie skacze».

Niezabudce z nad Bugu dziękuję serdecznie za życzenia wesołych świąt. Napisz, proszę, jak ci się udały babki i mazurki?

Pragnę dać ci dobrą radę, **Jutrzenko**, ale wybór trudny, gdyż wiele pięknych posiadamy książek. Może «Branki w jassyrze» Deotymy, lub «Atlantę» Urbanowskiej. Napisz, czy zgadzasz się na moje zdanie.

Dlaczego, **Młoda Polko**, miałabym nie chcieć odpowiedzieć na twój list, kiedy tylokrotnie zapewniałam was o gorącym pragnieniu zebrań jaknajliczniejszej gromadki pod hasłem szlachetnej pracy dla dobra bliźnich. Całym sercem witam cię, książki i marki przydadzą się dla biednych, a Jaskółka rozda je w imię Polki. Ty zaś pamiętaj, że wedle słów Zygmunta Kraśńskiego, «być Polakiem, to być Bosko i szlachetnie».

Pytasz, **Miriam**, czemu czujesz się smutna i zniechęcona, a jednocześnie donosisz o przewlekłym swem niezdroziu, w niem to szukaj przyczyny złego, bo tylko bardzo wyjątkowe dusze umieją zapanować nad fizycznym cierpieniem. Obyś sprostać im potrafiła, i była silną wolą, choć słabą ciałem. A może też wiosna wróci ci zdrowie, nie powinnaś wątpić o tem, toż miłosierdzie Boże dźwignęło szanownego twego ojca z choroby, miejmy nadzieję, że prędko zapomnisz o złem i oddasz się pracy nad biednymi dziećmi. Życzę z niej jaknajwięcej pociechy dla kochanej nauczycielki, a pożytku dla uczniów.

Dwa nowe kwiatki znalazłam w skrzynce, to **Konwalijka** i **Niezapominajka** z nad Prosną bardzo miły list napisały do Jaskółki, prosząc o radę w wyborze podręczników dla nauki biednych dzieci. Sądzę, że geografia najlepsza będzie Nałkowskiej, arytmetyka Jeskego, hist. polska Anczyca «24 obrazki». Szczęść Boże waszej pracy, kwiatki kochane, nie zapominajcie o mnie i doniescie w obszernym liście wszystko, o czym swiergotać ze starym ptakiem przyjdzie wam ochota.

Słusznie skarżysz się na omyłkę w wierszu, **Paskudny Dzieciaku**, redakcja zrobi pewnie stosowne sprostowanie. Czemu jednak, mimo moich nawiązań i w dzisiejszych twoich słowach znów pesymizm bierze górę? Piszesz, że:

«Nie trzeba gwiazd, gdy łuny świecą,

Nie trzeba słońca wśród strzępów nieba,

Gdy pieśni żalu w świat polecą,

Już innych pieśni nie potrzeba!...»

Otóż na wiersz odpowiem wierszem, zapożyczonym od Krasińskiego:

«Dość już długo, dość już długo brzmiał na strunach
[wieszczów żal.

Czas uderzyć w strunę drugą, w czynów stali!»

Do czynu owocnego, przepojonego miłością wzywam was wszystkich, młodzieży Wieczorów, zatem i ciebie, Dzieciaku. Nie pieścić się pora, nie rozczulać nad sobą ani nawet nad bliźnimi. tylko hart budzić w sercu własnym i współobywateli, tylko budować lepszą przyszłość i wszystkim przykładać się do niej.

Jaskółka.

Irena Bystramówna pozdrawia: Potok Górski, W. Mędrkiewiczównę, J. Kuźmierską, Jadzię Witkiewiczównę, Nińcię Szukszta i Fragolę.



Kalendarzyk historyczny.

- Kwiecień.*
1. Śmierć Bolesława Chrobrego r. 1025.
 2. Wstąpienie na tron Kazimierza Wielkiego r. 1333.
 4. Śmierć Słowackiego r. 1849.
 4. Bitwa pod Raławicami r. 1794.
 10. Bitwa pod Iganiami r. 1631.
 15. Bitwa pod Lignicą r. 1240.
 19. Bitwa pod Raszynem r. 1809.
 20. Elekcyja Jana Sobieskiego r. 1674.
 22. Łokietek obrany królem r. 1296.
 30. Śmierć Zygmunta III r. 1632.



ŻARCIKI.

Trafne rozumowanie, (urywek z listu).

„Kochany Władku, przesyłam ci przez pocztę żądane ubranie myśliwskie, ale że te wielkie guziki metalowe dużo ważą, więc żeby tyle nie kosztowała przesyłka, kazałem je odpruć.

Twój Józef B.

P. s. Guziki te znajdziesz w kieszeni od kurtki.

Szczyt skąpstwa—nie przeglądać się w lustrze, żeby go nie zużywać.

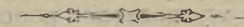
Mądry lekarz.

— Ach, jak mnie głowa boli?

— To niech mamusia przyłoży sobie do głowy przybytek.

— Jaki przybytek, co ty pleciesz?

— Ja nie plotę, przecież tatuś zawsze mówi, że od przybytku głowa nie boli.



OFIARY.

Zosi Now. z Teodozyi, i ks. K. P. dziękujemy za ubranie dla biednych dzieci.

Dla głodnych dzieci: p. F. Wiszniewska z Chersonia rub. 10. Malusia, Lala i Kazia Rdułtowskie wraz z nauczycielką p. E. Gronostajską rub. 4. Helena Raczkowska rub. 5. Zosia Osińska z W. rub. 5 kop. 65.

TREŚĆ:

Na Zmartwychwstanie (ryc.) — Ojciec nasz! (wiersz), przez Mir. — Wspomnienia z lat młodości, przez St. Br. — Zadanie do nagrody. — Rejtan. — Trzy tygodnie pod ziemią (z ryc.). — Święcone na wsi (ryc.). — Wśród Łotyszów, przez J. Verne'a. — Bomba (komedyjka). — Ze świata. — Skrzynka do listów. — Kalendarzyk historyczny. — Żarciki. **Dodatek:** Alleluja (wiersz z ryc.). — Śmigus (z ryc.). — Feniks i dywan czarodziejski. — Zadania i łamigłówki.

Polskie Pieśni Narodowe

w grze towarzyskiej, ułatwiającej wyuczenie, który każdy Polak znać powinien. Cena w pudełku **40 kop.**

Do nabycia w kantorze wydawnictw

Wiśniakowskiego i Sp. w Warszawie,

Jerozolimska 25 m. 20,

oraz w księgarniach i składach zabawek. Hadlującym rabat.

Uwaga. Zamieszkałym poza Warszawą wysyłamy za zaliczeniem, każdą zadaną książkę dzieciinną, lub zabawkę. Wystarczy podanie nazwy przedmiotu i przybliżonej ceny.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. **4**, kwart. rub. **1**; pocztą rocznie rub. **5** — kwart. rub. **1** kop. **25**. Zmiana adresu kop. **15**. Numer pojedynczy kop. **10**. Zagranicą rocznie **13** kor. lub **12** marek.

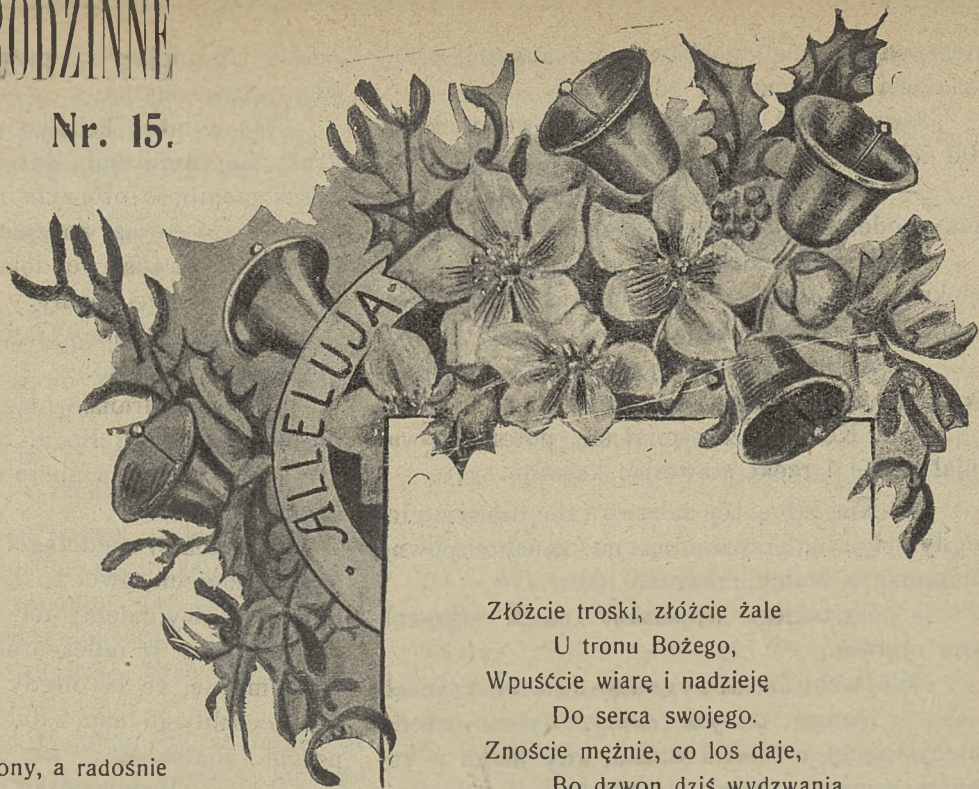
OGŁOSZENIA: po **15 kop.** wiersz 1-oszp. petitu.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Wydawczynie **Marya z Chomentowskich Balińska.**

W drukarni **E. Szyllera, Nowy-Swiat 26.**

Dział dla Dzieci.



Biją dzwony, a radośnie
Serce w nich kołata,
Wydzwaniają «Alleluja!
Zmartwychwstał Pan świata!»
Chdźcie wszyscy dzieci, starsi
Do świątyni Pana,
Chylcie czoła, wznóście serca
Padłszy na kolana.

Złóćcie troski, złóćcie żale
U tronu Bożego,
Wpuśćcie wiarę i nadzieję
Do serca swojego.
Znoście mężnie, co los daje,
Bo dzwon dziś wydzwania,
Że nadejdzie dla nas także
Chwila zmartwychwstania.



Śmigus.

Święta Wielkanocne to najweselsze dni w roku!

Tak przynajmniej myślą Staś i Janek, budząc się rano w niedzielę. Przed kilku dniami Janek przyjechał z kolegą do jego rodziny i obaj nie mogli się nacieszyć pobytom na wsi. Dnie były ciepłe, prawdziwie wiosenne, słońce dogrzewało, a chłopcy cały czas spędzali za domem, używając spaceru w polu i ogrodzie — Janek nie tylko dotrzymywał placu koledze ale starał się także zabawić jego siostrę Helcię i dwie jej kuzyneczki, których najlepszą rozrywką było bujanie się na wielkiej kłodzie brzozonej.

Ale chciało im się innych zabaw w liczniejszym towarzystwie chłopców i właśnie ułożyli sobie plan, że na pierwszy dzień po kościele i święconem pójdą do sąsiedniego, nie zbyt odległego dworu, gdzie mieszka znajomy Stacha Karol.

— Będziemy się tam wybornie bawili, mówił Staś, Karol taki wesoły i gościnnie, przytem jest tam doskonale urządzona gimnastyka i lawn tennis. Bawi u niego kilku kolegów.

Nadeszła oczekiwana Wielka Niedziela. Po nabożeństwie i śniadaniu, na którym mazurki Helci ogromnie smakowały, Janek rzekł do Stasia: — No, cóż idziemy do Iwaniszek!

— Dobrze — odrzekł Staś — ale widzisz, noga mnie boli, skręciłem ją wczoraj, przeskakując przez rów, pamiętasz?

— Ale później chodziłeś.

— Tak, lecz dziś obudziłem się z silnym bólem, nie wiem, czy będę mógł zająć tak daleko.

— Cóż znowu, pieścisz się niepotrzebnie, aby mi dokueczyć — rzekł niecierpliwie Janek.

— Co ty mówisz, Julku, mnie naprawdę noga boli.

— Może za godzinę będzie ci lepiej.

Lecz ból nie ustąpił i trzeba było wyrzec się wycieczki. Janek nie ukrywał złego humoru.

— Najlepiej byłoby pojechać, ale czy ojciec da konie? — mówił Staś zafrasowany.

— Wiesz że ja nie lubię jeździć, cała przyjemność to spacer. — I w złości zawołał.

— Ej, niedołęga z ciebie, Stasiu, poszlibyśmy zwolna i nicby ci się nie stało.

I nie czekając odpowiedzi, Janek wyszedł z pokoju rozgniewany. Bo też ten Staś jest

nieznośny, tak go pozbawić oczekiwanej przyjemności pod pozorem bólu nogi!

Gdy wrócił do Stasia i dziewczynek zastał ich rozmawiające z wujem.

— Ciekawam, jak się nam uda jutro śmigus — odezwała się nagle Helcia.

— Możemy dzisiaj zrobić próbę, jeżeliś ciekawa — odparł z uśmiechem p. Korecki, ujmując karafkę z wodą.

— A broń Boże, wujaszku! — wykrzyknęła dziewczynka, usuwając się żywo.

Pan Korecki roześmiał się, potem spowaźniał nagle i rzekł stawiając karafkę.

— Nie lubię tej zabawy i nie biorę w niej nigdy udziału, przypomina mi znaną pewną zdarzenie z moich młodych lat.

— Co takiego wujaszku? niech wujaszek nam opowie.

Wujaszek usiadł wygodnie na fotelu i zaczął:

— Dawne to już czasy, byłem wtedy mniej więcej w wieku Stasia, gdy jeden z kolegów zaprosił mnie na Wielkanoc na wieś. Pojechalśmy we trzech, a że było dwóch chłopców domowych, możecie sobie wyobrazić, jak nam było wesoło.

W dzień Wielkiej nocy podałem projekt odbycia w nocy przy księżycu wycieczki do lasu.

Projekt ten zyskał ogólne uznanie, lecz gdy wieczorem przyszło do wykonania, znalazło się tylko dwóch ochotników prócz mnie — Władek gospodarz i Henryk najmłodszy z nas.

Żartując i rozmawiając wesoło, weszliśmy w głąb lasu, lecz tam dalszy spacer stawał się

coraz trudniejszy i przykrzejszy po rozmięklej jeszcze ziemi.

Na dobitkę księżyc ukrył się, niebo pokryło się chmurami, deszcz zaczął padać i zupełna ciemność otoczyła nas dokoła.

— Co teraz pocniemy? — mówił Henryk — czy trafisz do domu Władka? bo przecie my lasu nie znamy.

— Ależ musimy trafić — odparł ten trochę niepewnym głosem.

Po kwadransie błądzenia wykrzyknął radośnie: — Dzięki Bogu! trafiłem na rów!

— A ja już w niego wpadłem — rzekł żałośnie Henryk.

— Ach ty niedołego! — Teraz idźmy ostrożnie brzegiem rowu, to trochę daleko, ale już na pewno wyjdziemy na drogę.

Szliśmy w milczeniu, brnąc po błocie i zdawało mi się, że las nigdy się nie skończy. Nakoniec zabłysło nam z daleka światło, wkrótce potem znaleźliśmy się w domu, przemokli i zziębnięci. Otrzymawszy dobrze zasłużoną wymówkę od p. Bielskiej, pośpieszyliśmy do łóżka.

Nazajutrz obudziłem się w najlepszym humorze, a szklanka wody wylana na twarz śpiącego jeszcze Władka, dała hasło do ogólnego śmigusu.

— Tylko mnie nie oblewajcie — prosił Henryk — tak mi zimno po wczorajszej wyprawie.

— Eh, nie udawaj chorego — zawołałem, wstawaj, zrobię ci porządną śmigus.

I wylałem na niego dzbanek zimnej wody, nie zważając na jego skargi.



Janek huśtał się z dziewczynkami...

Biedny Henryk! żartowaliśmy, że zanadto dba o swoje zdrowie, a on tymczasem rozchorował się na dobre. Doktor oznajmił, że to tyfus, i że może życiem przyłacić to przeziębienie.

— A ten niemądry śmigus pogorszył sprawę — dodał.

Struchlałem na te słowa. Na szczęście Henryk wyzdrowiał, ale niepodobna opisać ileśmy przeszli niepokoju o niego i jak gorzkie czyniłem sobie wyrzuty.

— Przecież to ta wyprawa do lasu głównie zaszkoziła — rzekł Staś.

— Zapewne — odparł wujaszek — lecz ja nie wierząc w chorobę Henryka, pogorszyłem ją mimowoli, nie zapomnę też nigdy wrażenia wywołanego słowami doktora.

Po odejściu wujaszka, Staś zwrócił się do Janka:

— Wiesz co, zdaje mi się, że miałeś słusność, nie powinienem się pieścić, chodźmy odwiedzić Karola, nie zważając na moją nogę.

— Nie, nie — zawołał żywo Janek — nie chcę, aby cię gorzej bolało.

— A potem powiesz znowu, że niedołęga. Janek zaczerwienił się.

— Nie powiem i nie będę samolubem, możemy zabawić się i bez Karola.

M. Beldowska.

FENIKS

i Dywan czarodziejski.

(Ciąg dalszy.)

— Powinna była nam powiedzieć — mówiła Kizia — a ja i Pantera byłybyśmy ten dywan oczyściły.

— Ale to taka złośliwa istota — dodał Robert.

— Ja już nie mówię, co o niej myślę — odezwała się Antea — bo byłoby to obmową, potwarzą i...

— To żadna potwarz powiedzieć, że jest złośliwą istotą i kockodonom z czerwonym nosem!... — przerwał z gniewem Cyryl.

I wszystkie dzieci, nie wyłączając Antei, zgodziły się, że choćby nawet kucharka nie była kockodonom z czerwonym nosem, lepiej by było, gdyby się nie była nigdy urodziła.

A teraz proszę was, nie posądzajcie, że to wszystko, co się stało w ciągu tygodnia i doprowadziło do ostatniej złości kucharkę, zrobione było umyślnie. Nie! Ja tylko przypu-

szczam, że nie byłoby się to stało, gdyby dzieci lubiły kucharkę.

W każdym razie jest to tajemnica. Niech ją wytłomaczy, kto może.

A stało się ni mniej, ni więcej, tylko to:

Niedziela. Odkrycie, że dywan z obu stron pokryty jest błotem.

Poniedziałek. Lukrecya z anyżem nastawiona do gotowania w rondelku. Antea to zrobiła, bo myślała, że ta przyprawa zrobi dobrze na kaszel Jagnięciu. Rondelek zapomniany na ogniu. Lekarstwo się wygotowało. Dno przepaliło się na nic. Był to rondelk emaliowany, z białą polewą w środku, przeznaczony wyłącznie do gotowania mleka dla Jagnięcia.

Wtorek. Zdechła mysz w spiżarni. Szufelka do ryb zabrana do wykopania grobu dla myszy. Nieszczęśliwym przypadkiem szufelka złamała się. Obrona dzieci: „To kucharka nie powinna zostawiać zdechłej myszy w spiżarni“.

Środa. Pokrajano łój barani na stole w kuchni. Robert dodał do niego pokrajanego mydła, jak utrzymuje — myślał, że łój to także mydło.

Czwartek. Okno w kuchni stłuczone skutkiem wpadnięcia na nie dzieci, bawiących się w rozbójników.

Piątek. Otwory w zlewie kuchennym zakitowano i zlew napełniono wodą, żeby mogły pływać papierowe łódeczki. Sprawcy zbiegli i nie zakręcili wodociągu. Woda zalała kuchnię. Mata na podłodze i trzewiki kucharki zniszczone zupełnie.

W sobotę czarodziejski dywan został dzieciom zwrócony. Przez cały tydzień było dosyć czasu do namysłu, o co go prosić, kiedy powróci do ich pokoju.

Mateczka, jak zwykle, pojechała na cały dzień do babci, ale nie wzięła z sobą Jagnięcia, bo bardzo kaszlało, a kucharka dowodziła, że „to koklusz — jak dwa a dwa cztery“.

— Ale my zabierzemy naszego gołąbeczka — powiedziała Antea — i zaniesiemy tam, gdzie nie panuje koklusz. Nie bój się, Robercie! Choćby nawet Jagnię opowiadało później o tem, nikt nie zwróci uwagi, bo ono często mówi o różnych rzeczach, których nie widziało.

Dzieci ubrały się i Jagnię, jak do wyjścia, a Jagnię śmiało, kaszlało, i śmiało się i kaszlało, biedactwo! Potem chłopcy odsunęli stół i krzesła z dywanu, a Kizia trzymała Jagnię na rękę.

— Musimy wrócić w porę na obiad — oznajmił Cyryl — bo kucharka narobiłaby hałasu...

— Ona tak zawsze... — zaczął Robert.

Ale w tej chwili drzwi otworzyły się z trzaskiem, i wpadła jak burza zaperzona kucharka. Wpadła i stanęła na rogu dywanu,

trzymając w jednej ręce stłuczoną donicę, a grożąc drugą ręką, zwiniętą w kułak.

— Moja donica! jedyna donica! — krzyknęła.—I w czym ja zrobię pudding, który mama zadysponowała na obiad? Nie będzie wcale obiadu! Nie warto gotować dla takich dzieci!

— Bardzo mi przykro—odpowiedziała łagodnie Antea. To moja wina, że zapomniałam wam powiedzieć.. Donica pękła, kiedyśmy wczoraj leli ołów na wodę, w wigilię świętego Andrzeja, i miałam powiedzieć, ale mi wyszło z pamięci...

— Miała panienka powiedzieć! — zakrzyczała kucharka czerwona ze złości jak burak.— Miała powiedzieć! I ja także mam coś powiedzieć! Cały tydzień trzymałam język za zębami, bo mi pani powiedziała, że „nie można szukać rozumu w dziecinnych głowach“ -- ale teraz będę mówiła! W puddingu było mydło, ale ja i Eliza nie puściłyśmy nawet pary z ust do mamy, choć mogłyśmy powiedzieć: a rondo dziecka, a szufelka do ryb, a... a... W Imię Ojca i Syna! A poco to dziecko ubrane? Chcecie go wyprowadzić na spacer? Z takim kaszlem?!

— Wcale nie chcemy go wyprowadzać na spacer — odrzekła Antea — tylko...

Ale nie dokończyła, bo choć nie mieli właściwie zamiaru brać go na spacer, jak myślała kucharka, jednak chcieli go zabrać gdzieś indziej, więc prawdopodobna Antea nie wiedziała co powiedzieć.

— Wyprowadzić na spacer? Spodziewam się, że nie! wykrzykiwała kucharka. -- A od czegoż ja tu jestem!

I wyrwała Jagniątko z rąk Kizi, a jednocześnie Robert i Antea pochwycili kucharkę za spódnicę i fartuch.

— Idźcie sobie!--zawołał z rozpaczą Cyryl.—Róbcie pudding w rondlu, czy w formie od pasztetu, czy w czym chcecie, byleście nam dali spokój!

— Ani myślę! — odparła krótko i stanowczo kucharka. — Może jeszcze zostawić wam to dzieciątko, żebyście je na śmierć zaziębili?!

— Ostrzegam was!--zaczął uroczyście Cyryl—ostrzegam, żebyście się mieli na baczności dopóki czas!

— Niech lepiej panicz o sobie myśli! — krzyknęła kucharka, ażebyście wiedzieli, że dziecka nie dam wyprowadzić! Nie dam i koniec! A to skąd się wzięło?! Ta żółta kura?..

Kucharka dopiero teraz zobaczyła Feniksa.

W tej chwili nawet Antea zrozumiała, że jeżeli kucharka nie opuści służby, to wszystko przepadnie...

— Pragnę i żądam — przemówiła nagle Antea — ażebyśmy znaleźli się w słonecznym, ciepłym kraju, gdzie nigdy koklusz nie panuje...

Słowom tym towarzyszył krzyk Jagnięcia, i łajania kucharki, a w tej samej chwili wszystko zawirowało w koło nich—zakołysało się na dół—w górę—w prawo—w lewo... Kucharka klapnęła całym ciałem na dywan, przyciskając krzyczące Jagnię do swej tłustej postaci, odzianej w perkalową suknię i białe fartuch.

Gdy kołysanie ustało, otworzyła oczy, krzyknęła przeraźliwie i napowrót zamknęła powieki, z czego skorzystała Antea i odebrała jej krzyczące niemiłosiernie Jagnię.

— Nie bój się!--przemówiła do niego.— Widzisz, że cię trzyma na rękę twoja własna *Panteja*. Patrz, jakie tu drzewa, jaki piasek i muszelki, jakie wielkie żółwie leżą na piasku... O! jak tu gorąco!

(d. c. n.)

Zadania i łamigłówki.

Łamigłówka kombinacyjna

uł. Ćwiczek.

Z dziewięciu liter, pomiędzy którymi znajduje się 1 N, 2 I, 2 L, 1 D, 2 A i K.

Trzy wyrazy ułożyć. W każdym rzadku słowo Czytane wzdłuż i wpoprzek ma brzmieć jednakowo, Pierwszy wyraz, co oto z tych liter się złoży, To rzeka bardzo znana, która Deltę tworzy, Drugi — góra, skąd było widać gruzy Troi Trzeci — kwiatek, w jesieni ozdoba pokoi.

Przeplatanka literowa

uł. Zbyszko.

- 1) Łdrżż 2) ęis 3) cinnorz
- 4) ajprsuw 5) ęis 6) cceiiopwz
- 7) a 8) w 9) adkmyż 10) acinst
- 11) emosz 12) ęyz 13) ceęiilsswz.

Z powyżej podanych szeregów liter należy ułożyć trzynastowyrazowe przysłowie polskie.

Rozwiązania do № 13.

Arytmogryfu: 1) K, 2) Pol, 3) Genia, 4) Gruszka, 5) Arystydes, 6) Parlament, 7) Francya, 8) Wacek, 9) Gil, 10) N.

Środkowe litery tych wyrazów składają nazwę: *Konstancin*.

Przeplatanki literowej: Dla przyjaciela nowego, nie opuszczaj starego.

Szarady-figla: Wy — lew.